

XVIII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienski Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2020
Mateusz Rosicki – kategoria dorośli – proza – wyróżnienie

Godło: asa nisi masa

Papieros zgaszony na nagim pośladku

Jak mogę wiedzieć, kiedy się spotkaliśmy, skoro pośród życiowych zawirowań nie sposób się zorientować, czy niezamierzone otarcie się rękawem o niezauważoną wcześniej postać, zerknięcie w przypadkową stronę lub zdecydowanie się na wizytę w tym, a nie innym miejscu daje właśnie początek brzemiennej w skutkach rozwojowi wypadków, czy też jest całkowicie nieistotnym zdarzeniem, jednym z mnóstwa zdarzeń, które prześlizgują się przez zmysły, nie pozostawiając na nich większego wrażenia? Znając współrzędne punktu, w którym przecięły się krzywe naszych losów, nie sposób było wywnioskować, że krzywe te nie miną się bezpowrotnie, lecz zawrócą i zaczną biec najpierw równoległe do siebie, a potem nieznacznie skręca, by zlać się na moment w jedną prostą. Nie pamiętam, kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem, i nie pamiętam nawet, w jakich okolicznościach nawiązaliśmy znajomość poprzez kilka nic nieznaczących słów. Historie początków to retroaktywne mitologie tworzone nie od punktu wyjścia, tylko od punktu dojścia. Każda para spisuje swoją Genesis i swój Exodus nie na bieżąco, tylko *post factum*, polegając na przekazywanej ustnie tradycji, na informacjach z drugiej ręki, na tym, co zapamiętano z podań mgliście kojarzonych poprzedników. Co mam zrobić z tymi wszystkimi relacjami? Mogę dokonywać tylko nieustannych negocjacji pomiędzy nimi.

Pierwszy, którego pomocy mogę zasięgnąć, pamięta wyraźnie, jak siedział z nią na jednej z ławek na Plantach. Zwyczajnie, banalnie, co zrobić, dodaje, żebym nie posądził go o tani sentymentalizm, choć skłonność do taniego sentymentalizmu jest ostatnią skłonnością, jaką mógłbym piętnować. W obliczu przytłaczających doświadczeń bezlitosnej codzienności czasami tylko to, co wzbudza najprostsze emocje, potrafi dać siłę, by w cokolwiek uwierzyć bądź poczuć chęć do życia. W dodatku sentymentalizm, oprócz tego, że jest sentymentalizmem, jest tani, a więc stać nań każdego. Melodramatyczna tkliwość to najbardziej egalitarne z uczuć. Nie daję jednak po sobie poznać, że, wbrew temu, czego można by było oczekiwać, nie jestem sceptycznie nastawiony do obrazka pod tytułem *Jesień na plantach*, więc mój rozmówca nadal wyraźnie się krępuje, opowiadając, jak obejmowali się po przyjacielsku, prawdopodobnie z powodu jakiejś dobrej wieści, kiedy nagle ona przybliżyła swoją twarz do jego twarzy, pokonując barierę sfery intymnej, i pocałowała go w usta. Pamięta to wyraźnie, mówi z rozpalonym wzrokiem, przetykając ślinę między jednym a drugim słowem. Jabłko Adama masuje mu szyję, a on zastanawia się, dlaczego akurat *ona* to zrobiła. Myślał zawsze, że to *on* w końcu nie wytrzyma i stawiając wszystko

na jedną kartę, w desperacki sposób zerwie ze swoich ust taśmę z napisem *przyjaciel*. Zrobiła to jednak ona, a on jej już nie puścił. Smakowali swoje usta, jakby były to owoce o nieznanym wcześniej smaku, mówi, nie ukrywając już wcale tego, że zanim doszło do wydarzenia na Plantach, prawdopodobnie naczytał się sporo różnej maści, lepszej i gorszej (zwłaszcza tej gorszej) literatury erotycznej. Smakowali swoje usta, dopóki któryś z rowerzystów przejeżdżających obok nich nie krzyknął, że publiczne całowanie się jest zabronione (pewnie nie słyszał nigdy Brassensa śpiewającego o tym, że zielone ławki istnieją specjalnie dla początkujących zakochanych). Albo nie, całowali się, dopóki nie podszedł do nich kłoszard, który nie mógł nie wykorzystać fali miłosnego uniesienia do tego, żeby ugrać swój interes. Przerwawszy z konieczności wytlaczanie śliną ust, przeszli się Plantami naokoło krakowskiego rynku, bo gdzie indziej mieli spacerować w ich zakorkowanym mieście? Jak inaczej mieli się poruszać, niż trasą, która prowadziła od kościoła do kościoła? Co rusz mijali jakąś zakonnicę, której zakuta w habit sylwetka przypominała im o tajemnicy, jaka stoi za ujarzmieniem ciała i narodzinami ducha. Mijali siostry najróżniejszych zgromadzeń. I najróżniejszych kontynentów. Czy jest bardziej nienaturalny i kuriozalny widok niż wydatne, afrykańskie usta wyłaniające się z czeluści zaprojektowanego w średniowieczu habitu? Co prawda spacer po Plantach nie obfitował w tak intensywne wrażenia zmysłowe jak wyreżyserowany przez Felliniego watykański pokaz mody, ale nadal pozostawiał sporo do obserwacji. Kiedy minęli drobną, młodzieńską karmelitankę, której białe stopy wzbudziły w nim czułość pomieszana z niepokojącymi przemyśleniami na temat habitu jako fetyszu, zaczęła mu w końcu opowiadać o szczegółach ze swojego życia, które wcześniej wstydziła się wyjawiać. Dowiedział się, że była uczennicą katolickiego gimnazjum i liceum i w każdy pierwszy piątek miesiąca przymusowo się spowiadała. Na dwa dni przed odprawieniem tego dla jednych oczyszczającego, a dla drugich upokarzającego rytuału celowo szukała pokus, żeby mieć z czym klękać przed kratką konfesjonału. Teraz to on stał się jej grzechem, być może pierwszym, w który popadła nie przymusowo, lecz dobrowolnie. Kiedy się przed nim odsłoniła, nie wyśmiał jej, lecz zapragnął jej jeszcze bardziej. Wybrali się do kina. Jakie było ich zaskoczenie, kiedy na sali kinowej zobaczyli siostrę zakonną w pełnym rynsztunku. I to na filmie Woody'ego Allena, a nie na jakiejś drugorzędnej hagiografii. Dla niego był to pierwszy taki widok. Ona już wcześniej, ze swoją klasą, wychodziła czasami do kina z siostrą dyrektorką. Nigdy jednak nie na Allena. Piastowanie urzędu cenzora to jednak niebywały przywilej. Jest coś perwersyjnego w oglądaniu tego, czego potem się zakazuje. Cenzora nikt nie pyta, czy czerpie przyjemność z niedozwolanych przez siebie treści. Żeby schować się przed wzrokiem, który, wbrew szlachetnym deklaracjom, karze za międzyludzką miłość, usiedli w ostatnim rzędzie. Żałował, że nie żyje w czasach, w których można było palić na sali kinowej. Wtedy między projektorem a ekranem, na drodze rozszerzającego się światła, które rozprowadzało na płótnie pragnienia publiczności, unosiły się nie tylko wirujące bezwiednie drobiny kurzu, lecz także kłęby dymu wchłonięte i przepuszczone przez nienasycone ciało widza. Ciało, które wraz z każdym oddechem emitowało w stronę kontemplowanej płachty tęsknotę za tym, co nieuchwytnie. Tak, kiedyś kino pachniało tytoniem. Jego zastały jednak czasy, w których palaczy niemal wszędzie widziano równie niemile co domokrażców i nachalnych ewangelistów, a pracownicy obsługi kina byli etatowymi strażnikami moralności. Choć uznawał, że wszelkie próby rugowania tytoniu z miejsc publicznych noszą znamiona zamachu na wolność

jednostki, musiał jednocześnie przyznać, że jego towarzyszka znalazła jedyne dobre usprawiedliwienie dla zakazu palenia. Tuląc się do niego na ostatnim seansie w ciągu dnia, bawiąc się guzikami jego koszuli, zanim ten się nie urwał, powiedziała, żeby rzucił palenie, bo inaczej może stać się impotentem. Stanowiło to pierwszy wyraźny sygnał, że będzie chciała czegoś więcej niż tylko przytulania i całowania. Dlatego też zwrócił szczególną uwagę na jej rzuconą mimochodem radę. Wcześniej ignorował ostrzeżenia na pudełkach papierosów. W ich prawdziwość uwierzył dopiero wtedy, kiedy to, co dotychczas było ulatującym w próżnię wraz z wydychanym dymem, dojmującym brakiem, znalazło swoje ujście w głębi jej ciała. W skrócie – im bardziej go pociągała, tym mniej się zaciągał. Raz, kiedy skończyli, nie mógł się jednak powstrzymać od swojej zakazanej przyjemności i zapalił papierosa w łóżku, ryzykując z pozoru niewinnego dymka pożarem prześcieradła. Kiedy zerknął na jej pełne biodra, nagle wydało mu się, że spała się razem z trzymanym w ustach w tytoniem. Żeby się uratować, nie wiedząc do końca, co robi, zgasił papierosa na jej pośladku. Krzyknęła z bólu i wygięła się w łuk, jakby właśnie przeżyła orgazm. Nigdy jednak nie czyniła mu wyrzutów, jakoby zrobił z niej swoją popielniczkę. Zresztą zaraz zadała mu pokutę. Nakazała, by przez pół dnia obcałowywał oparzenie, balsamował je śliną, dopóki nie zmieni się w znamię rozkoszy. To była jej życiowa filozofia. Każdą niedogodność przeciągać na swoją stronę tak długo, dopóki ta się nie ugnie i nie zacznie sprzyjać, zamiast uprzykrzać życie. Nigdy nie powiedział jej, że była jego pierwszą. Ale nie musieli sobie mówić takich rzeczy. Nie liczyła się dla nich przeszłość. Wydawało mu się, że nie liczy się dla nich również przyszłość, ale nie liczyła się ona tylko dla niego.

Pamięta to także jego następca, ten, który dowiedział się, że nigdy się do niego na stałe nie wprowadzi, jeśli nie wezmą ślubu kościelnego, bo właśnie takie zwyczaje panowały w jej rodzinie. Do dziś dnia, mówi mi, nie przestaje mnie zaskakiwać, jakim cudem tak purytańskie środowisko potrafiło wydać na świat tak pociągającą dziewczynę. Wydawało mu się wręcz, że tłumione pragnienia wszystkich członków jej klanu eksplodowały w jej ciele, w jej palcach, wyjadających całe słoiki dżemów, i w jej złożonych w ciup ustach oblizujących te palce. Widział, jak bardzo dusiła się w wyznaczonej dla niej przestrzeni tego, co mogła powiedzieć, czego musiała słuchać i o co musiała prosić. Twierdził, że powinna się z niej wyrwać. Przecież i tak ma swoją pracę, da radę się utrzymać. Namawiał ją, żeby się do niego wprowadziła. Ona jednak nie potrafiła funkcjonować bez rodziny. Woląa żyć wśród ludzi, którzy ją ograniczali, niż bez nich. Czasami zostawała na noc, ale nigdy nie przynosiła walizki, bo krótkotrwałe przeprowadzki zbyt przypominałyby jej o tym, co dla niej niedostępne. Wszystkie niezbędne rzeczy miała ze sobą zawsze w torebce. Nigdy też nie zmywała makijażu przed pójściem do łóżka, więc miał to szczęście i mógł podziwiać jej świecące na turkusowo rzęsy, które nie pozwalały mu zasnąć swoim intensywnym blaskiem. Dopiero wtedy, kiedy oddychała przy nim naga, spoconą piersią, wydawała się uwalniać chociaż na moment z krępujących ją ograniczeń. Domyślał się, że jej umysł prawdopodobnie toczy nieprzerwaną walkę, ale dla niego, choć może zabrzmieć to jak bluźnierstwo, zastrzega się, nie liczył się jej umysł, liczyło się dla niego tylko jej ciało, które było zdolne przyjąć każdą pieszczotę. Kiedy się kochali, miała w zwyczaju przykładąć palec do lekko rozwartych ust. Którejś nocy, leżąc obok niego, spytała się, czy nie zrobiłby dla niej czegoś. Czy nie powiedziałby dla niej *tak* przed ołtarzem. Roześmiał się. Dla niego już ślub jako taki był

absurdem, a co dopiero ślub kościelny. Miał się za zaprzysiężonego antyklerykała i nie potrafił sobie wyobrazić nakładania obrączki tak na swój, jak i na jej palec. Nie obraziła się za to, ale zasmuciła się, zrozumiała bowiem, że nigdy nie wykonają dalszych kroków w związku. Nie przedstawi go swojej rodzinie, nie wprowadzi go do swojego klanu. Jemu to odpowiadało, jej nie. W gruncie rzeczy nie rozumiał, dlaczego mimo tego, że zachowuje dystans w stosunku do wyniesionych z domu wartości, pozostaje przywiązana do swoich bliskich. I nie rozumiał nigdy, dlaczego nastąpiło to, co nastąpiło.

Pamięta i rozumie to dopiero mój bezpośredni poprzednik. Kiedy to zrobiła, w końcu pojął, a przynajmniej wydaje mu się, że pojął, jak może czuć się człowiek w pułapce pozbawionej wyjścia. Ostatnie wyjście zatrzasnęła bowiem ona, wychodząc, wyskakując. Choć po jej ucieczce okno pozostało otwarte, a firanki trzepotały na wietrze, jemu wydało się, że zatrzasnęły się przed nim drzwi z żelaza. Nie było to zdarzenie, które potrafiłby przewidzieć, które mieściło mu się w głowie. Kiedy to zrobiła, zrozumiał swój błąd. Zrozumiał, że trzeba było machnąć ręką, zdystansować się do przekonania o wyższości wolnych związków nad małżeństwem i z palcami skrzyżowanymi za plecami przyrzec, co trzeba. Ale jednocześnie wiedział, że gdyby tak się stało, być może po jakimś czasie to on posunąłby się do ostateczności. Nie wiedząc, co robić, zrobił to, co zwykle, kiedy nie wiedział, co robić, czyli poszedł do kina. Nie dlatego, żeby miał nadzieję znaleźć tam jakąkolwiek odpowiedź na pytanie, jak powinien być postąpić, ale dlatego, że w sytuacji zagrożenia czy też załęknięcia pragnął wycofać się do pozycji embrionalnej. Siedząc w kinie, tym razem już bez towarzystwa zakonnic, pochłaniając niemal namacalną cielesność aktorek, czuł na swoim ramieniu jej rękę. Skulony w fotelu, ssąc, jak kciuka, smak jej ust, który pozostał mu na języku, pragnął przestać istnieć, tak jak i ona. Ale kiedy wyszedł z sali kinowej na ulicę, zmrużył przemęczone, przemoczone oczy i zobaczył, że świat tętni życiem jeszcze bardziej niż wcześniej, zrozumiał, że to niemożliwe. Pragnął rozpaczliwie zatrzymać jeden obraz, który by ją unieśmiertelnił. I, zgodnie z jego życzeniem, ten nagle nadszedł...

Papieros zgaszony na nagim pośladku. Żar zamiera i przechodzi w krzyk. Popiół opada po zboczach jej ciała. W powietrzu unosi się zapach dymu, który oznajmia wieść na miarę końca konklawe, przebywania pod kluczem – ona żyje, czuje, cierpi, pragnie i kocha. Skupieni w twoim wnętrzu wyznawcy jej kultu podnoszą wrzawę. Nie zapomnij, znamię, które uczyniłeś na jej ciele, było prawdziwe.